

— Bo ty za ładną kiecką oczy wypatrujesz, a ja nie.

— Panie Czajkowski, — odezwał się Marski, — pan dużo gości oczekuje?

— Dotychczas nikogo. Dwóch znajomych zażądało zamówienia numerów w hotelu.

— Dziś pan już ich nie dostanie, — rzekł Milczak, — komitet zamówił wszystkie pokoje lepszych hotelów dla delegatów, zostają tylko pokoje prywatne.

— W takim razie przyjmę ich do siebie, jakoś się pomieszczą. I chciałem panów zapytać, gdzie mam się udać, ażeby wziąć czynny udział w przygotowaniach?

Zaczęły się długie narady i wreszcie zgodzono się, ażeby udał się do gmachu Sokoła, a tam wskazać mu sekcję, w której potrzebują chętnych do pracy.

* * *

Na parę dni przed piętnastym lipca miasto przybrało wygląd świąteczny i uroczysty. Ze wszystkich domów powiewały sztandary, a okna i balkony przyozdabiano dekoracjami, tak że zdawało się, iż rynek i ulice przyległe, a zwłaszcza prowadzące ku Błoniom, przemieniły się w jakieś salony przyjęcia niezwykle rozmia-

— Gdzieś znikły i ukryły się głęboko wszystkie troski i kłopoty codzienne. Wszystkie twarze spotykane, od robotników do najwyższych dygnitarzy, były pogodne, jasne, biła z nich radość i wesele, a ruchy, postawy, chód wyrażały dziwną swobodę, jak gdyby ogłoszono i w czyn wprowadzono hasło równości, wolności i niepodległości.

Wśród snujących się tłumów oczy wszystkich zwracały się na Sokołów, którzy w tej pamiątkowej uroczystości rocznicy pogromu Krzyżaków i odsłonięcia pomnika Jagiełły, zwycięzcy z pod Grunwaldu, mieli wziąć wybitny udział.

Każdej godziny nadzwyczajne pociągi przywoziły uczestników z różnych stron Polski. Nieustannie rozbrzmiewała muzyka odprowadzająca delegatów na wyznaczone im kwatery.

Co chwila wśród tłumu publiczności przebiegały radosne wieści:

— Ze Frysztaku jedzie czterystu Ślązaków.

— Ze Stryja tysiąc osób.

— Z Kruszyńka cała szkoła.

Wieści się mnożą, przez ulice przeciągają górale w swym pięknym stroju, roje chłopów polskich w sukmanach z nad Sanu i Dniestru. Idą Mazurzy, Sandomierzanie, Ślązacy i Ślązaczki w swych bufiastych spodnicach. — Z wszystkich stron zbiegły się dzieci Polski bez różnicy stanów, ażeby wziąć udział w chwale przeszłości i nabrać otuchy na przyszłość, która wszystkim zda się tak promienną i jasną, jak ten dzień przyjęcia i zjazdu gości w starym Krakowie.

Czajkowscy brali żywy udział w przygotowaniach. Roman i Irena po całych dniach byli za domem i wracali dopiero wieczorem, ale z jasnymi, uradowanymi twarzami, prześcigając się w opowiadaniu matce przyjemnych szczegółów o przybyłych gościach.

Na dwa dni przed właściwymi uroczystościami przybyło do Czajkowskich nietylko owych dwóch znajomych, ale jeszcze trzech innych, których na prośbę komitetu kwaterunkowego, musiał Roman przyjąć u siebie.

Prawda, że Czajkowska nie widziała ich po całych dniach, za to wieczorami było gwaro i huczno w ich mieszkaniu, i jak mówiła Irena żartobliwie:

— Dobrze będzie w ojczyźnie, bośmy się wszyscy zjednoczyli, — jeden z gości był z Litwy, drugi z Rusi, a trzeci z Wielkopolski.

W przeddzień właściwej uroczystości lunął deszcz rześisty i z tego powodu Irena przed wieczorem przyszła przemoknięta do domu. Zaledwie się przebrała, wszedł Lencki i zdziwiony stanął w pierwszym pokoju, widząc w nim dwa łóżka załane.

— Cóż to za koszary u państwa? — zaśmiał się, patrząc na Irenę.

— Zobacz pan u Romka, tam przejść nie można, ale to przyjemnie mieć tak miłych gości.

— Iluż ich jest?

— Pięciu, a nas troje, to razem osiem osób.

— Czy nie za wiele? nie męczy to pani Czajkowskiej?

— Wcale nie, — odpowiedziała wesoło sama Czajkowska, wchodząc do pokoju, — cieszą mnie ci goście, a najbardziej to, że pan nas odwiedził. Sądziłam, że pan już zapomniał o nas wśród tego zgiełku i radości.

— Byłbym może odłożył tę wizytę, ale mam dwa ważne interesy i do pań i do pana Romana.

— Proszę siadać pan, pomówimy.

— Mamo, może przejdziemy do naszego pokoju, tu ciasno i nieład.

Gdy usiedli w sypialnym pokoju pań, zaczął doktor:

— Mam wiadomość równie ważną dla pana Romana, jak i dla pań, a drugi interes, to czy mają panie bilety na ćwiczenia Sokołów, będzie to w swoim

— Oto wzór córki, — podchwycił doktor, — bardzo słusznie panno Irenę. A ja nie powiem o posadzie, póki mama się nie zgodzi.

— Ileż to będzie kosztowało? — zafrasowała się, — nigdy nie spodziewałam się, ażeby pan był przeciwko mnie.

— A prawie zawsze tak bywa, że tylko przyjaciel popchnie nas w przepaść, bo od nieprzyjaciela mamy się na ostrożności. Ostatecznie, zgadza się pani, czy nie?

— Cóż mam robić, ulegam przemocy, tylko czy są jeszcze bilety?

— Pójdę, — wstała Irena, — może jeszcze znajdę, chociaż słyszałam, że bardzo wiele rozkupiono.

— Pośpiech zbyteczny, panno Ireno, teraz już ich pani nie dostanie, ale jeden z moich znajomych ma do odstąpienia kilka biletów, i dziś jeszcze poproszę go o nie, bo jutro byłoby za późno.

— Panie, a ta posada? Jaka ona? — spytała Czajkowska.

— Dokładnie nie wiem, tyle tylko co od pana Romana, że ma zostać zarządzającym jakiejś filii...

— Ależ to w Warszawie! — zawołała Irena, — a jemu wracać nie wolno.

— Panno Ireno, królowa Bona umarła, wie pani o tem? — zaśmiał się i zwrócił się do Czajkowskiej: — otrzymałam pewną wiadomość, że pan Roman otrzyma w najbliższych dniach urzędowe pozwolenie powrotu do Warszawy.

— Panie, panie, czy to możliwe? czy pan nie żartuje? — zawołała niedowierzająco Czajkowska. — Skąd pan wie? czy to prawda?

— Najprawdziwsza, — sięgnął ręką do kieszeni i z listu odczytał: — W dniu dzisiejszym polecono konsulatowi we Lwowie za nr. 692 zawiadomić pana Romana Czajkowskiego o pozwoleniu powrotu wolnego i bezpiecznego do Warszawy. — A teraz wierzy pani?

— Jaki pan dobry, jaki pan kochany, — ścisnęła jego rękę, — i jakie to szczęście dla nas!

— A mnie bardzo miło być pośłem tej wieści, ale nie mogę się z niej tak cieszyć jak pani, bo tracę bardzo miłe towarzystwo pań i pana Romana.

— Ale zyskujesz pan naszą szczerą przyjaźń i serdeczną wdzięczność — powiedziała Irena.

— Zbyt hojna zapłata dla posłańca — uśmiechnął się.

— O, nie! wiem co mówię, pan jeździł w tym celu do Warszawy, starał się pan o to i dlatego pan pierwszy otrzymał wiadomość o zniesieniu rozkazu wydalającego Romana z Warszawy. To przecież jasne, i niech się pan nie zapiera swej dobroci.

— Mniejsza z tem, co było, to było, ale naprawdę miło jest widzieć uradowanie pani Czajkowskiej, że skończyły się dni pokuty w Krakowie.

Jutro idziemy na odsłonięcie pomnika, a pojutrze na ćwiczenia Sokołów.

— Czy prócz galicyjskich będą i inni Sokoli? — spytała Czajkowska.

— Są z Zagrzebia, z Czech, z Poznania...

— A nasi z Królestwa? — zawołała Irena, — czy będą, czy im pozwolą?

— Jest to tajemnica, którą sobie szepczą na ucho, oczekują ich przyjazdu, ale pewności dotychczas niema. Paniom przyślę bilety i spotkamy się na trybunie, — wstał.

(Dokończenie nastąpi)



Przywitali go wesołym okrzykiem.

rodzaju jedyne widowisko, gdyż pięć tysięcy Sokołów bierze w niem udział.

— Prosiłam mamę, — spojrzała Irena z wyrzutem na matkę.

— Biletów nie mamy. To trudno, Irenko, ażebyśmy sobie pozwalali na zabawy, gdy Roman jest bez posady.

— Ale podobna uroczystość, mam, zdarza się raz w życiu.

— Nie namówisz mię, Irenko. Czy nie mam słuszności, panie doktorze?

— Jako strażniczka rodziny ma pani zupełną rację...

— Ja myślałam, — zawołała Irena, — że pan stanie po mojej stronie, a pan, jak zwykły filister, przedewszystkiem uwzględnia przeszkody.

— Czekajmy końca, jak mówił dobry Jonatan, — uśmiechnął się, — a gdyby pan Roman otrzymał posadę, czy strażniczka udzieliłaby pozwolenia?

— Co? ma pan dla Romana posadę? — zawołała matka uradowana.

— Prawie, ale wpierw zabawa, — zaśmiał się.

— Jeśli Romcio ma posadę, to idź już ty, Irenko na tych Sokołów.

— Ja bez mamy nie pójdę.